

Wywiad przeprowadzony z panią Stefanią Chmielarz z d. Bachorz oraz jej córką, Genowefą Doczekalską. Rozmowa dotyczyła wysiedleń z ziemi jarocińskiej w czasach II wojny światowej, których doświadczyła także rodzina pani Stefani.

Wywiad: tekst - Monika Mielcarzewicz, zdjęcia i tekst - Natalia Banaszak, tekst - Wiktoria Sibińska, opieka: Marta Jankowiak.



Stefania Bachorz z mamą, w dniu komunii, z bratem oraz z rodziną

Monika Mielcarzewicz: Na początek może jedno z łatwiejszych, ale równie ważnych pytań. Ile miała Pani lat, kiedy została wysiedlona z rodziną oraz gdzie Pani wówczas mieszkała?

Stefania Chmielewska: Sześć lat. Miałam wtedy sześć lat. Mieszkaliśmy w Słupi.

Genowefa Doczekalska: Może ja powiem jak do tego doszło. Ojciec mamy był handlarzem. W sumie wtedy, w okresie międzywojennym, bardzo modny był zawód handlarza. Tu handlował, tu coś kupić taniej, sprzedać drożej i tym się trudził. Przede wszystkim handlował trzodą chlewną. Gdy wybuchła wojna to taki handel był zakazany. W ogóle rolnik, gdy chciał zabić świnie dla rodziny, to musiał mieć pozwolenie sołtysa, sołtysa-Niemca. Takie pozwolenie rolnik mógł dostać raz w roku. Ewentualnie, jeżeli była jakaś wielka uroczystość, to dwa razy do roku. A że mój dziadek przełamał, prawda, to prawo, to prawdopodobnie jeden z Polaków mieszkających tam, w Słupi, doniósł do Niemców, że dziadek handluje i zabija świnie. To była główna przyczyna, tego, że ich rodzinę - jako jedyną ze wsi - wywieziono podczas pierwszego wysiedlenia 8.12.1939 r. Ta rodzina, rodzina Bachorz, składała się z taty, mamy i trójki dzieci – Jana (7 l.), Stefani (6 l.) i Henryka (3 l.). Ta akcja nazywała się „Aussiedlung”. Hitlerowcy, przy pomocy miejscowych Niemców, znacznie wcześniej przygotowywali listy rodzin i osób przeznaczonych do wysiedlenia. 8.12.1939 r. trzyosobowa grupa Niemców dobijała się do domu. Żandarm głośno czytał nakaz wysiedlenia do Generalnej Guberni Stanisława, Heleny oraz ich dzieci Jana, Stefani i Henryka. To było, jak mama mi mówiła, późną wieczorną porą. Ja miałam takie szczęście znać jeszcze babcię i babcia mi opowiadała taki dramatyczny moment, gdy ci Niemcy

Materiały są dostępne na licencji [Creative Commons BY-SA 3.0 Polska](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl/)

przyszli, zapukali i te dzieci nie zdawały sobie z niczego sprawy, i babcia chciała ukryć, jakoś tak ochronić tego najmłodszego Henia, który spał w łóżeczku. Rzuciła pieluszkę na niego. Mieli 20 minut na spakowanie. Niemcy pozwolili wziąć pierzynę, bo były dzieci. Odczytali rozkaz i patrzą: Stanisław jest, Helena jest, Jan jest, Stefania jest, nie ma Henryka. I wtedy, jak babcia mówiła, jeden z tych Niemców był takim dość porządnym człowiekiem i mówi, że on głową zapłaci za to, jeżeli nie dowiezie kompletu rodziny. Niestety z wielkim płaczem oddali tego małego Henia. Pierzynę kazali zabrać, trochę rzeczy, może jakiś taki koc do przykrycia. No i wyjechali wozem konnym w kierunku punktu zbornego.

S.Ch.: Z Jarocina były cztery rodziny: Kaliszak, Dąbrowski i jeszcze ktoś. Z Magnuszewic Rogowski, z Kotlina Matuszak i z Witaszyczków Pilarczyk.

G.D.: Wyprowadzili ich i na dworzec kolejowy zawieźli. Wyszleńców wieziono w 20 wagonach osobowych i 4 paczkarkach, w których było troszeczkę słomy. I tam, gdzie była ta słoma, to po prostu położyli osoby starsze i dzieci. Wagony były nieogrzewane, wycięta była w wagonach taka dziura, żeby tam załatwiać potrzeby fizjologiczne.

S. Ch.: Tak były zaślane. Pociągi towarowe mają taką kłódkę i, oczywiście, Niemcy pilnowali, zamkli i koniec. Dużo ludzi się głodziło. Nie chcieli jeść, bo myśmy nie wiedzieli, gdzie oni nas wiozą. Do Guberni, ale gdzie? Może oni nie mówią nam prawdy? Jechaliśmy ponad tydzień. Były przystanki, nie raz zjechały wagony na boczny tor, no i stały. Oczywiście, tam nie był w stanie nikt się wydostać, bo nie było możliwości, żeby otworzyć, żeby wyjść, chociaż powietrza dostać trochę. Myśmy się dusili. Oni przyszli, otwarli, dali trochę jedzenia. Kto tam chciał, do dzieci, czy tam jak, ale to była woda, czy taka może kawa z mlekiem.

M.M.: A ostatecznie gdzie Panią wywieźli?

S.Ch.: Do Opoczna. Wyszleńców nas w Opocznie i później powiedzieli, że mamy sobie szukać lokum i na razie zostaniemy tutaj. No, i w Opocznie nie było już miejsc, w których byśmy mogli zamieszkać. Jakiś wolny pokój nie każdy chciał oddać, bo nie wiedział, co za ludzie. Mój tato poszedł, i powiedział, że w Białaczowie - to taka miejscowość, może 8 km mogło tak być - po Żydach są jakieś mieszkania, w których by można się osiedlić na razie. No, i rzeczywiście, myśmy na takiej tam hali spali. Mój tato przyszedł i załatwił, że taki jeden pokój dostaliśmy. To było okropne. Podłóg nie było, dziury, taki tam piecyk. Żydy tu przychodziły swoje modlitwy odmawiać. To było coś okropnego, ale cieszyliśmy się, że mamy dach. Nikt mieszkania nam nie mógł oddać. Były czasy takie, jakie były. Myśmy mieli wszy, pchły, pluskwy. Karaluchy jakieś takie. Byliśmy pogryzieni, bo spaliśmy na podłodze. Mamusia, pamiętam, gorącą wodę lała, bo nie mieliśmy nic takiego, żeby się tego pozbyć. Coś okropnego. Ale mama później jakoś tam wapnem wymalowała trochę i betonem. Przyszedł taki pan, no, i nam pomogli. Łóżko zbili. Stołu nie było, to pamiętam. Taki Żyd, Moś, mieszkał w piwnicy. On tam za

Niemców piekł chleb. Mamusia moja tam chodziła dużo sprzątać i tam zarabiała. Mamusia coś tam ugotowała, co tam miała, co tam jej ktoś podał, co tam przyniósł. Bo ludzie się interesowali, co my jesteśmy za rodzina, skąd jesteśmy. No, to mamusia prosiła, czy by jakiś garneczek, czy by mogła ugotować coś. Było nam ciężko, naprawdę ciężko. Ojciec pracy nie miał. Jak już była tak bieda, co nie było, no to żeśmy z bratem chodzili po ulicach i po prostu żebrali. Jak dostałam jakieś tam cukierki, ciasteczka, jako sześcio-, siedmioletnia prawie dziewczynka, no to się cieszyłam. Wiadomo, na drugi dzień też tam poszłam. A ta pani mówi: „No, dziecko, przyjdź na drugi tydzień, bo wiesz nie dawno był twój brat tutaj”. Każdy nam coś tam dał. Mama tam chodziła później, w nocy do takiego gospodarstwa i tam podbierała ziemniaki. A ojciec trochę się zajął też handlem, no po prostu zabijał, tak jak to kiedyś robił.

G.D.: No, musisz mamie powiedzieć, że twoi rodzice też często gotowali dla partyzantów.

S.Ch.: Ojciec gdzieś na wsi zahandlował, no to ci partyzanci po prostu przyszli i poprosili, żebyśmy ugotowali. Mamusia w nocy wstawiała, żeby ugotować jakąś słoninę, czy coś. Oni przychodzili, zabierali, żeby przetrwali w tych lasach. Także jak pukali, to takie były pseudonimy: Florian, Biały, Szary. Pamiętam, mama nas przykrywała, bo moglibyśmy tam komuś coś powiedzieć, jak to dzieciaki.

M.M.: Czy udało się tę działalność zachować w tajemnicy, czy wyszła ona na jaw?

S.Ch.: Ktoś tam coś w nocy musiał widzieć i ojca zamkli. Przyjechali, zabrali do Opoczna i siedział w więzieniu. Po prostu go zabrali, no i widzieli, że są tu dzieci, a oni dzieci transportowali do innych więzień. No i taka pani, sąsiadka, blisko mieszkała, słyszała, jak przyjechał samochód. Przyszła i ona tam umiała się rozmówić z tymi Niemcami, więc poprosiła, żeby oni te dzieci zostawili, że bardzo chętnie zaopiekuje się tą rodziną. Mama bardzo szybko psychicznie się załamała, płakała, bo szukała pracy, żeby przeżyć, bo ciężkie warunki itd. Także później ta pani poszła do tego Opoczna i powiedziała, że ona nie może, bo jej też jest ciężko, żeby po prostu te dzieci odwieźć do poznańskiego, do rodziny. Powiedzieli, że przyjadą. I przyszła z tego Opoczna i nas umyła, mi włosy zrobiła. Brat był starszy i coś wiedział, płakał. Ja mówię: „powiedz mi, czemu płaczesz? Pojedziemy do babci? Do Słupi, tam, do Jarocina? Pojedziemy?”. A on nic nie mówił. Ale ta pani ścisnęła nas, całowała, patrzyła, bardzo przeżywała. Nie wiem jakim cudem, mamę puścili, ci Niemcy, więc być może, że nie mieli transportu jakiegoś. Mamę przesłuchali w sprawie tego gotowania, no i puścili ją. Tatę trzymali, no nie wiem, może dwanaście tygodni. Miał nerki obite, a później jak już w 1945r. żeśmy wrócili, to mój ojciec w 1948 zmarł. No i takie mieliśmy życie.

M.M.: Czy udało się Pani rodzinie wrócić do rodzinnego domu?

S.Ch.: Wróciliśmy w 1945r. - 5,5 roku byliśmy w Opocznie - i mieszkaliśmy u babci, w Słupi. Wróciliśmy do swojego domu po prostu.

M.M.: Jakie wydarzenie z tego okresu najbardziej utkwiło w Pani pamięci?

S.Ch.: Yyy.. Miałam tyfus plamisty. Wyszły mi włosy. Pamiętam, że moja mama w takim garnku robiła papkę i mi nakładała na głowę. Musiałam chodzić z tym do szkoły. Dziewczynki się ze mnie śmiały i tam mi zaglądały, bo zastanawiały się, dlaczego ja mam tę chustkę. A później zrobiły się takie wrzody i to tak ciekło, i swędziło. Nie raz mi krew leciała.

M.M.: A długo Pani chorowała?

S.Ch.: No, to tak nie wiem. Pamiętam jak ja skakałam i się cieszyłam, jak taki meszek mi wychodził, bo myślałam, że w ogóle nie będę miała włosów, bo te cebulki za długo chore były - mama mi tam swoim sposobem robiła. Także to dosyć długo trwało, ale zanim wyrosły mi te włosy, to musiało trochę potrwać. Najpierw był taki meszek, a później coraz więcej. No, to już później się cieszyłam. A miałam tak ładne włosy na tych zdjęciach.

G.D.: Jest dużo zdjęć. Aż dziwne, że z okresu wojny moja mama ma tyle zdjęć. Ale okazało się, że wśród wysiedlonych był fotograf z Witaszyc. On był zatrudniony w czasie wojny w Generalnym Gubernatorstwie. Jako fotograf robił tam zdjęcia dla Niemców i przy okazji zrobił dużo zdjęć rodzinie mamy.

S.Ch.: Ponieważ w wagonie żeśmy jechali itd. I mieszkali bardzo blisko. Wujku na niego mówiłam. Czasem przyszedł i mówi: „Zawołaj tam swoich braci. Zawołaj, zrobię wam zdjęcia. Ładnie niech was mama ubierze i wam zrobię”. No i nam robił. A przykre sprawy, które utkwily mi, to jak poszłam do pierwszej komunii. Brat był starszy, ale mama poszła do Księdza i prosiła, żebym ja też poszła. Nie miałam białej sukienki, miałam taką modrakową - pani Ludwisiakowa miała po swojej córce jakąś. Księża się tam szykowali na zdjęcia, fotograf nas ustawiał na ławeczkach. Wszystkie dziewczynki są w białych sukienkach, a ja nie. Ani jedna nie chciała przy mnie stanąć, bo miałam taką „brzydką sukienkę”. I ja zaczęłam płakać. Mówię, że teraz nie będę mogła pójść do Komunii, ale przyszli ci księża. „No i czego ty płaczesz dziecko kochane” powiedział jeden i pogłaskał mnie. I powiedziałam, że koleżanki nie każą mi, żebym z nimi stanęła. Jak pan fotograf mnie ustawił, to one mnie wytkły. Ksiądz mnie zawołał i mówi: „O, teraz będziesz między nami”. Miałam to zdjęcie, ale zginęło. Zaszczyc miałam, że ja między księżmi... One później ze mną nie rozmawiały, były złe, jak takie dzieciaki. Ale ja myślałam: „Dobrze, że mnie wygoniły, bo żadna nie stała koło księdza, a ja stałam”.

M.M.: Może zazdrościły tego Pani?

S.Ch.: Na pewno zazdrościły.

M.M.: To było jedno ze smutniejszych wspomnień, dlatego teraz zapytamy o najmiłsze. Czy było takie, które wspomina pani szczególnie miło?

S.Ch.: Jak przychodziły paczki z domu, ze Słupi, od babci. One były rozpakowywane na pewno, bo było widać. Takie paczki szły tydzień, dwa. Babcia upiekła jakiś chleb, mieliśmy jakieś tam ciasteczka, coś do jedzenia, ale najwięcej to mama prosiła, żeby rzeczy, no, bo co tam mieliśmy... Nie było za co

kupić. No, więc ubranka takie itd. Jak dostaliśmy paczkę i ona była tak opakowana, i obita takimi deseczkami - takie cieniutkie deseczki, taka sklejka - to pamiętam, że mój brat nie kazał otwierać. Myśmy ją całowali, bo chcieliśmy, żeby to, co tam jest, tam zostało. Szkoda tego otworzyć, a jak dopadniemy, to wszystko zjemy. Jak już otwarliśmy, nie mogliśmy wytrzymać, ale najpierw: „Nie, teraz nie! Na wieczór, jutro!” Ale gdzie tam, otwarliśmy, no to były tam cukierki. Sukienkę dostałam, skarpetki. Jezu, jaka radość, no mówię, że nikt takich skarpetków nie będzie miał. To było najmiłsze.

M.M.: A jak często przychodziły te paczki?

S.Ch.: Rzadko. Niekiedy nie doszły te paczki. Myśmy dostali list, że wysłana została paczka, mamusia poszła tam na pocztę - niemiecka to była poczta – i pytała, czy dotarła ta paczka. Ale nie, zginęła po prostu, albo coś takiego. Były tam rzeczy i się pewnie komuś spodobały - oni wszędzie patrzyli, kontrolowali.

M.M.: Zapytamy teraz o jakieś znajomości - mówiła Pani, że chodziła do szkoły. Czy później utrzymywała Pani jakieś znajomości?

S.Ch.: To nie, nie. Chociaż mieliśmy takie rodziny, które naprawdę mogliśmy, no, tego... Tak to nie pamiętam.

M.M.: Czyli żadnego takiego kontaktu nie było?

G.D.: Choć brat mamy odwiedził te miejsca. Pojechał gdzieś tam koło 2000r. Ale co na przykład ja zauważyłam, to to, że moja mama ma taki, że tak powiem, charakter, że ona pewne rzeczy, te złe, wypierała. Co dziwne, ten młodszy brat więcej pamiętał z tamtych czasów. Być może, jakieś te takie niedobre momenty, starała się jakoś odepchnąć. Bo tak – 12-letnia dziewczynka, to by w sumie pamiętała. Ale ja myślę, że u niej zadziałał taki mechanizm wyparcia.

S.Ch.: I z tego powodu imiona koleżanek to takie przez mgłę. Ale pamiętałam imiona takich Żydówek – Sura i Itta, córki Mosia. Ta jedna była starsza ode mnie, ta druga może tak jak ja, no to żeśmy się bawiły tam na tym podwórzu, gdzie była piekarnia. One się ze mnie zawsze tam tego, bo ty jesteś tam taka i tego. Mówiły, że dadzą mi jajka, ale jak będę stała i coś będą kazały mi zrobić. One poleciały do tej piekarni i niosą coś w kieszeni. Ja tam stoję, czekam, one przyszły. „Ale teraz tak stań, tak prosto stań!” - mówiły. Miały te jajka, myślałam, że przyjdą i mi je dadzą za to, że ja tak stoję, a one mnie rzuciły. Miały radochę, że te jajka po mnie spływają. Zaczęłam płakać i pobiegłam do domu. No i mama mówi, że mam ich czasem nie wyzywać, nie przezywać. Poszła do tego Mosia i powiedziała, że tak zrobiły. A on bardzo, bardzo porządny jako człowiek. Mówi, żeby mnie przyprowadziła, że one muszą mnie przeprosić przy nim i powiedzieć czy tak było. Nie chciałam tam iść, ale poszłam. Stałam i przyszły, i coś tam powiedziały, że przepraszają, coś tam tego. Pamiętam, że dostałam takie jakby naleśniki na przeprosiny. To było takie pieczone i takim radełkiem robione różne wzory. To było dobre po prostu. Ale to było odstawiane do Niemców, no, ale na te przeprosiny

dostałam. Później zaczęłyśmy się znów bawić, ale już nie powtórzyły tego. To pamiętam, że po prostu tak mnie znieważały i ich imiona zapamiętałam. A koleżanki, z którymi chodziłam, to jakoś tak nie wiem, nie miałam jakoś tak dobrej pamięci.

M.M.: A jak wyglądał taki przeciętny dzień?

S.Ch.: Mamusia nas brała, na rynku była taka figurka Matki Boskiej, mówi tam idźcie sobie usiąść i módlcie się, żebyśmy pojechali do babci. Tata tam nigdzie nie jechał w tym dniu, no to żeśmy się bawili. Do południa na pewno chodziliśmy do szkoły. Popołudniu to koło domu, później się mama starała przyjść.

M.M.: Czy miała Pani jakieś marzenia, plany w okresie wysiedlenia?

S.Ch.: Wrócić do babci, żeby dom rodzinny zobaczyć. Jak żeśmy wrócili, to w Witaszycach wysiedliśmy, to pamiętam, i tam co kawałek jakaś rodzina nas zatrzymywała. Dziadek po nas wyjechał do tych Witaszyc, bo wiedział, że o tej i o tej godzinie pociąg przyjeżdża, i że my tym pociągiem przyjeżdżamy. Babcia upiekła tam placek jakiś. Rodzina się trochę zjechała i ciocie tam przyszły... Brat leciał, ja za nim leciałam. On wiedział, pamiętał dom nasz, gdzie jest, a ja nie pamiętałam. Do domu kawałeczek trzeba było dojść. I on mi tam gdzieś wleciał i ja zaczęłam płakać. I teraz idę, i stoi mojej mamy siostra jedna, druga, i tak one tak płaczą. No, a ja mówiłam: „No przepraszam, ale mój braciszek tu leciał i moja babcia gdzieś tu mieszka, ale ja nie wiem gdzie...” A te ciocie rzuciły się na mnie z płaczem, wzięły mnie – „No, Stefcia, to ja jestem, ciocia”. A ja się pytam: „Ciocia Antosia? Taka tam, co listy pisała?” Odpowiada: „Tak, tak. Sukienki ci przysyłałam, skarpeteczki ci przysyłałam”. Jezus, płacz taki, ja płakałam i się cieszyłam, i latałam, i ja byłam zdenerwowana. To było... To było coś pięknego Tego się nie da opisać.

M.M.: To był chyba jeden z najszcześniejszych momentów?

S.Ch.: Tak, najszcześniejszy. Ale każda jedna tam zapłakana. Mówiłam: „Ja przyjechałam, bo moja babcia... Bo ja jestem Stefka.” I tak im opowiadałam, no. No, to było coś cudownego.

M.M.: Dużo mówi Pani o starszym bracie. Co w tym czasie działo się z młodszym?

S.Ch.: No z młodszym... To znaczy się, ja byłam taki trochę psotnik. No i mama zawsze jak tam na mnie, to mówiła: „Jezus, za kim ty się, dziecko, wydałaś?” Ja tam się z tym młodszym to tak nie bardzo.... On był jednak młodszy trzy lata, to zawsze prosił, ale jak coś tam miałam to czasem coś wziął, bo ja mu wzięłam, jak to dzieciaki. Ale my się bardzo szanowaliśmy, kochaliśmy.

M.M.: Mogłaby Pani opisać te czasy tak krótko, może w trzech słowach?

S.Ch.: Kojarzy mi się to z wielką taką przykrością, dlaczego my tak długo byliśmy? I z moją chorobą. I z takim płaczem mamy. Smutek po prostu. Głód - czasem było tak, że nie mieliśmy nic, no i jak nie dostałam nic to zastanawiałam się, dlaczego mi tam nie dali? Jak to dziecko, kiedy dostałam to już na drugi dzień tam byłam. A oni mówili, że mam przyjść za tydzień, to coś mi tam uszykują... I to było

takie przykre... Nie chciałabym tego jeszcze raz przeżywać.

G.D.: Nikt by tego nie chciał przeżywać po raz kolejny.

M.M.: Dziękujemy Pani bardzo za wywiad.



Stefania Chmielarz obecnie